

JAN SZCZEPAŃSKI
Członek Rzeczywisty PAN

PODRÓŻ

Co skłania ludzi do podróżowania? Co pcha te setki tysięcy pasażerów zalegających codziennie lotniska wielkich miast oraz lotniska pomniejsze, poddających się pokornie rygorom organizacji bez precedensu w dziejach ludzkości? Za jaką cenę i dlaczego te miliony ludzi w ciągu każdego roku podporządkowują się dyscyplinie skomputeryzowanych nakazów, planów, schematów i wymagań? Organizacja, transportu lotniczego jest największą i najsprawniejszą organizacją międzynarodową, manipulującą bezwzględnie, lecz z pozorami usłużności i troski, sprawami tych milionów, którzy swoje życie, bezpieczeństwo, majątki, interesy powierzają anonimowym chłopcom i dziewczętom stukającym w klawisze maszyn i komunikującym się z całym światem, zapewniając przedsiębiorcom dotarcie w czasie do punktów węzłowych ich interesów, politykom dojście do sal konferencyjnych, matkom do chorych dzieci. A przecież samolotem człowiek nie podróżuje. Zostaje potraktowany jako przesyłka pocztowa, doręczony do następnego lotniska, gdzie albo wychodzi, albo zostanie przejęty tranzytem i przekazany do następnego latającego pudła i dostarczony na miejsce przeznaczenia.

I

Pisał kiedyś Jan Jakub z Genewy: „Jeżeli chcesz dojechać, jedź dyliżansem, lecz gdy chcesz podróżować, idź pieszo”. Dzisiaj już nawet nie chcemy dojechać – chcemy być dostarczeni, bez ryzyka, bez niespodzianek, z tym minimalnym prawdopodobieństwem katastrofy czy teraz – w dobie terroryzmu – porwania samolotu, kiedy pasażerowie przesyłki stają się pasażerami-zakładnikami jakiejś cudzej i zupełnie im obojętnej sprawy.

Część tych przesyłanych siedzi koło okien i w wyjątkowych okazjach ma możliwość oglądania „skrawków obcych lądów w mżeniu gwiazd”, ale już „namiętności ludzkie w pomroce” zostają od nich oddzielone jedenastoma tysiącami metrów, które rozszerzają horyzont, ale zmniejszają wymiary kontynen-

tów. Gdy lecisz na tej wysokości w jasnej słonecznej pogodzie nad pustynią arabską czy czerwonym australijskim *outback*, rudym Dekanem czy śnieżnymi Alpami, nie widzisz tego świata czy tych światów w ich właściwej ludzkiej perspektywie – widzisz je w pomniejszeniu, sprowadzone tylko do zdeformowanego pejzażu, kiedy leniwo siedząc w fotelu, drwisz sobie z ich potęgi i grozy. Właściwie ta perspektywa pomniejsza przede wszystkim samego widza, pozabawia go szansy zmierzenia swoich sił i możliwości z tymi pustyniami, skalnymi ścianami, z żarem słońca czy mrozem wysoczyzn. Jesteś równocześnie aniołem przelatującym obojętnie nad światem i nad jego siłami, walkami, trudami, rozpaczą i bólem ludzi, którzy tam gdzieś w dole, w tym jakimś niewyraźnym punkciku, walczą, cierpią, cieszą się, są szczęśliwi, ale równocześnie jesteś odczłowieczoną ilością kilogramów żywności i kilogramów bagażu, którą się przewozi, bez wystawiania na jakiegokolwiek ryzyko, gdyż z góry się zakłada, że wsiadając do samolotu, oddajesz swoje wszystkie cechy ludzkie, wymagane niegdyś do pokonywania przestrzeni, w ręce anonimowej organizacji, która wykonuje za ciebie twoje ludzkie czynności. Pasażer linii lotniczej powinien słuchać, gdy go wzywają, iść w kierunku wyznaczonym strzałkami, dochodzić do określonej bramy, okazywać wręczony mu uprzednio skrawek papieru lub tektury. Koniec.

Jeżeli chcesz podróżować – zostaje ci twoja wyobraźnia, która ci mówi, że oto te zielone wyspy na oceanie widziały Otago Conrada czy szkuner Syna Słońca opisywanego przez Londona. Możesz się przejmować zarysem wysp, cieśnin, możesz czasem podziwiać nieprawdopodobnie piękne burze elektryczne w dalekich chmurach, ale ta podróż nie sprawdza żadnych twoich umiejętności – najczęściej w samolocie leci także jakiś analfabeta czy człowiek ciężko chory i radzą sobie równie dobrze jak i ty.

A jednak – wspominasz sobie dwuwiersz Londona: „Stara tęsknota za szlakiem, za dałą – Sus jeden zrywa łańcuch codzienności”.

Otóż nie wchodzisz na szlak, by go odmierzać wysiłkiem swoich mięśni czy serca, ani dal nie sprawdza twojej siły, ale łańcuch codzienności został zerwany. Gdy tylko lotnisko osiada w dole, świat się zmienił, to wszystko, co zostało tam na ziemi, maleje, staje się mniej ważne, daleki świat i sprawy odległe o tysiąc, tysiące kilometrów nagle stają się coraz bliższe i mkną do ciebie z szybkością około 900 km na godzinę. Sus jest potężny, jeden na tysiąc lub tysiące kilometrów, i ten jeden sus zmienia doszczętnie twoją codzienność. Bo po kilku godzinach jesteś w świecie innym i obcym, w którym to, co było ważne przed dwiema godzinami, staje się małe, odległe, nieważne, w tym obcym tłumie czujesz się zagubiony i dlatego uśmiechasz się z ulgą, gdy ktoś w obcym języku zdeformuje komicznie twoje nazwisko: ten ktoś na ciebie czeka i umieści cię

w nowym kontekście nowej codzienności, ulokuje w hotelu, objaśni nowy rytm życia; da plan miasta i zakreśli w nim kółko twojego hotelu, twój zasadniczy punkt odniesienia, wskaże inny punkt – miejsce jutrzejszej konferencji, da ci spis nazwisk – słowem, ulokuje cię w nowych ramach.

Czasem, jeżeli przeleciałeś wiele tysięcy kilometrów, może się zdarzyć, że będziesz trochę jakby z innej planety i będą patrzyli, czy masz ludzkie odruchy tak jak oni, jak myślisz, jak reagujesz. I tak się rozpocznie twój test. Nie czasu ani przestrzeni, nie klimatu ani wysokości, ale test ludzi i odmiennej kultury. Czy się odnajdziesz w tej sytuacji, czy zrozumiesz nie tylko znaczenie słów, ale także i sens nadawany im przez obyczaje i wartości tego kraju, czy odczujesz różnice intonacji i czy odnajdziesz poza schematem grzeczności to, o co chodzi naprawdę? Podróż zatem sprowadza się do pobytu w punkcie docelowym, by użyć tego niedobrego wyrażenia. Nie pokonywanie przestrzeni, ale szybkość w przestrzeni, by zaoszczędzić czas na pobyt i tak z reguły bardzo krótki, ale pobyt i te także bardzo krótkie chwile, jakie pozostają poza salą konferencyjną – stanowią sens podróży. Nie przestrzeń, ale czas jest sprawą decydującą. Podróżujesz walcząc z ograniczonością czasu i obcość nowego miejsca chwytasz pośpiesznie, otwierając wszystkie pory zmysłów i skóry, wysuwasz przed siebie wszystkie anteny intuicji, rejestrujesz wszystko, co wydaje ci się inne, i w tym dopatrujesz się istoty tej nowości, a zarazem sensu podróży.

II

Więc po co podróżujesz? By tam być, widzieć, doznać, wchłonąć coś z inności tamtego życia, kupić, przywieźć, a potem wspominać – zawrzeć znajomości i potem pisać listy? Karty statystyczne wypełniane w portach lotniczych klasyfikują te podróżujące masy w kilku prostych kategoriach: interesy gospodarcze, wizyty, turystyka, konferencje, wykłady i studia. Lecz niezależnie od tych urzędowych schematów, niezależnie od linii lotniczych i autobusowych, pociągów i statków kursujących mniej lub więcej regularnymi trasami, przez świat współczesny przewala się swoista wędrówka ludów – w dalekim Katmandu spotykają się tysiące młodych ludzi z całego świata, w spalonych słońcem dolinach południowej Kalifornii zbierają się czciciele dziwnych proroków, dążą gdzieś setki tysięcy młodych ludzi szukających zapomnienia, nowej wiary, sensu życia, nawrócenia, śpieszących gdzieś, by nagle przyjąć do serca chociażby na krótki okres nowo odkrytego Jezusa czy Buddę, lub po prostu w pogoni za słońcem, za nadzieją nowych przeżyć, nowych plaż, muzyki, wina, narkotyków, miłości łatwej i drapieżnej w swojej anonimowości.

Czy to tylko nowoczesna technika komunikacji i łatwość masowego pokonywania przestrzeni, czy też nagła zamożność społeczeństw dotąd bardzo oszczędnych wypchnęła na szlak miliony ludzi – zarówno młodzieży, jak i starszych, zdecydowanych objechać świat za kilka dolarów dziennie, wykorzystując możliwości oferowane przez coraz liczniejsze przedsiębiorstwa podróży, które obudziły tęsknotę ruchu w duszach milionów emerytów?

W 1961 r. wracałem ze Stanów Zjednoczonych francuskim statkiem „Liberté” – z Nowego Jorku do Hawru – wraz z dwiema chyba setkami starszych pań amerykańskich, zwiedzających świat za pięć dolarów dziennie. Ofiarowały sobie tę podróż, by wyrwać się z nudy i monotonii małych miasteczek środkowego zachodu, zobaczyć te dziwne kraje i obyczaje, których inność była w tych miasteczkach równoznaczna z nieprzyzwoitością, a zatem poznać dreszcz tej inności, sprawdzić siebie i może wyzwolić coś innego, czego się nie spodziewały i bały, a czego przecież pragnęły w samotnych marzeniach. Podróż jest tym zdarzeniem, mogącym zrealizować tyle niespodziewanych możliwości. Przecież w każdym nowym mieście, lokalu, lotnisku można się otrzeć nagle o coś ze snów, o księcia z bajki, zobaczyć rzeczy niezwykle, usłyszeć słowa wstrząsające, zobaczyć zdarzenia odbiegające od przewidywalnej codzienności. Każdy wieczór na statku, każdy dancing był podniecającym oczekiwaniem, zabawą wolną od ograniczeń lokalnego otoczenia – sąsiadów i krewnych.

Bo oto nagle podróże, te, które były przywilejem i możliwością bogaczy, stały się dostępne dla emerytowanych nauczycielek, mogących zobaczyć te dziwne światy z podręczników geografii, z filmów i programów telewizyjnych. Podróżować – znaczy więc równać się w górę z tymi bogaczami, którzy w czasach naszej młodości podróżowali – i to jest dodatkowy urok podróży dla starszego pokolenia, pamiętającego czasy twardej pracy, beznadziejnego oszczędzania, skąpienia wszystkiego i ciągłej myśli o „czarnej godzinie”. Dla młodych, wzrosłych w czasach zamożności, te czasy są legendą wymyśloną przez starych. Dla nich zamożności nie mierzy się butami noszonymi codziennie ani koszulami i krawatami czy ubraniami często zmienianymi – dla nich zamożność to nie słodka kawa z mlekiem czy rosół z kury – dla nich zamożność to samochód i podróż. I już nie myślą o klasach bogatych rezerwujących dla siebie prawo podróży. Podróż jest prawem wszystkich, bez względu na to, czym usprawiedliwiona.

Podniósł się poziom monotonii, poziom codzienności, od której ucieka się w podróż. Sto lat temu bardzo bogaci ludzie prowadzili bardzo nudne i monotonne życie w porównaniu z przeciętnie zarabiającą rodziną klasyfikowaną dzisiaj w nizinach społecznych – bez radia, telewizji, kina, domu kultury, wielkich magazynów, szybkich pociągów, autobusów itp. A przecież dla

współczesnej młodzieży już to wszystko jest monotonią nie do wytrzymania. Bo przecież w telewizji i w kinie widzi się tyle rzeczy atrakcyjnych, tyle przedmiotów codziennego użytku – pięknych, miłych, wygodnych, przyjemnych – nie ma ich w tym szarym codziennym otoczeniu – więc jest w nim źle, trzeba z niego uciekać, szukać, szukać zapamiętałe gdzie indziej – w innych krajach, tam, gdzie to wszystko wydaje się być w zasięgu ręki.

Po co więc podróżują starsze panie, których tyle się spotyka na międzynarodowych lotniskach, i młodzi ludzie pętający się po świecie autostopem, pociągami, samochodami czy innymi przemyślnymi sposobami. Po co podróżują starsi uczeni, zakładający tysiące międzynarodowych organizacji naukowych, kulturalnych, organizujący różne imprezy intelektualne – zbawiający świat, kulturę, rozwijający naukę, technikę, medycynę. Gdyby policzyć te organizacje i liczby ich członków – trudno byłoby uwierzyć w prawdziwość podanych liczb.

Jaka jest motywacja tworzenia tych organizacji? Podróże grają tu ważną rolę – przecież organizacje te co roku mają swoje kongresy i konferencje w innych krajach, innych stronach świata, byle tylko przemieścić się daleko i na inne miejsca. I chociaż hotele są wszędzie podobne, restauracje podają te same międzynarodowe potrawy (a jeżeli nie, to znaczy, że „standard” nie jest międzynarodowy, co jest rzeczą wstydliwą) – tłumy podróżują i biegną do tej jednolitości „standardu”, bo on przecież podnosi ich własne samopoczucie. Anglosasi znajdują potwierdzenie swojej wyższości, bo to oni narzucili światu ten „standard”. Przedstawiciele innych narodów czują się podniesieni w swoim prestiżu przez uczestnictwo w tym „standardzie”. Więc jest rzeczą obojętną, czy jest to Sztokholm, Amsterdam, Chicago, Dakar, Teheran czy Sydney – są hotele, a w nich klimatyzacja, łazienki, pokoje z telewizorami, jest lounge i drinki przed posiłkami, jest steak, jest continental breakfast, jest norma, po którą tu przyjechaliśmy.

III

Czego więc szukają ostatecznie te wędrujące gromady? O co zabiegają członkowie rodzin czekających na zaproszenie od krewnych, by otrzymać paszport, wizy, bilety lotnicze, by przejść przez barierę czarów, gdzie nadaje się bagaż, otrzymuje tekturowy wiatyk do wejścia na pokład samolotu, przechodzi kontrolę paszportów, odprawę celną i zasiada w poczekalni, patrząc na ekrany telewizyjne podające numery rejsów i godziny odlotu, czeka na wezwanie z pudełek gadających nad głowami? Ilu z nich, z tych milionów pasażerów wypełniających codziennie lotniska, dworce kolejowe, dalekobieżne autobusy, podróżuje z musu, a ilu z własnej ochoty?

Oczywiście, życie społeczeństw współczesnych zmusza coraz większe liczby ludzi do podróży – w pogoni za interesem, zarobkiem, zyskiem; ilu

jednak goni jakieś mary wyobraźni, szuka ucieczki przed sobą, ilu sądzi, że odnajdzie siebie gdzieś wysoko nad chmurami, że patrząc na fantastyczne gry światła w wielkich kumulach dozna objawienia piękna czy też dostrzeże sens i cel swego życia? Ilu popędza zwykła ciekawość, ilu odczuwa nacisk niecierpliwości, że oto kończy się młodość, sprawność, a przecież niczego wielkiego nie doznałem ani nie przeżyłem nic niezwykłego, a zatem życie mija jakoś bez tych nadzwyczajnych wrażeń, które podobno stanowią o jego pełni? Ani nie widziałem ludzkiego szaleństwa, ani nie przeżyłem żadnej wielkiej przygody, ani nie doznałem oszołomienia, ani nie spróbowałem żadnego narkotyku, nie widziałem wielkich widowisk – ani *corridy*, ani wielkich stadionów szalejących swoją tęsknotą przelaną w sprawność graczy na boisku. Chcę więc razem z tymi szalejącymi widzami, ryczącymi zaciekle swój szal na przekór monotonii i nudzie całego tygodnia, dyscyplinie bezdusznej pracy, ogłupieniu tych samych czynności, teraz, gdy wolno mi krzyczeć swój bunt, uzasadniony jako szal radości kibica, dopuszczalny moralnością masowej zabawy, wolno mi nawet rozbijać i niszczyć – chcę w tym uczestniczyć w obcym kraju, żeby potem wrócić do spokojnej normy i przeżywać tę krótką wielkość utopienia się w cudzym, a więc dopuszczalnym szaleństwie.

Bowiem jeden z paradoksów bogatej cywilizacji technicznej polega na tym, że produkując rozrywki w rytmie przyśpieszonym, rodzi także nudę i niezadowolone w postępie geometrycznym. Cywilizacja konsumpcji wytwarza sprzężenie i mechanizmy potęgujące tęsknoty za niezwykłością. Bowiem raz zamknięte dążenia do ucieczki w świat zostają podjęte przez przedsiębiorstwa organizujące te ucieczki, które dodatkowo potem uderzają w człowieka kolorową reklamą pięknych krajobrazów i kuszących aluzji erotycznych, zapowiadających niezwykłość, przygodę – apelujące do marzeń i popędów silnych, chociaż ukrywanych pod maską obojętności, której przecież i tak nikt nie bierze poważnie, gdyż każdy ma w sobie te same skłonności, nadzieje i apetyty, zdobywając jeden poziom dostępności do uroków tej cywilizacji pobudzającej tęsknoty użycia, widzimy natychmiast nowe horyzonty możliwości, wobec których poziom osiągnięty staje się blade, nijaki, nudny, prawie wstydlivy. Wyprawa do stolicy czy nad morze była kiedyś przeżyciem dla człowieka z prowincji, ale szybko przyćmił je blask Bułgarii czy Jugosławii, a potem Barcelony, Paryża, Nowego Jorku. Słowem, ta Mekka marzeń przemieszcza się coraz wyżej i dalej. Już Bangkok jest w zasięgu twoich złotych. Dla kogo więc są wczasy pod gruszą? Dla mędrców z wyboru i z musu?

Tak więc podróże są formą rozprawy z sobą, testem dla rozbudzonych nadziei, a często także przeżyciem rozczarowań. Bowiem okazuje się, że hotele, restauracje i ludzka chciwość są podobne na całym świecie, że nie wszędzie

znajdziesz luksus i wielką przygodę, że łatwiej jest przeżyć rozczarowanie, zawód, przykrości, doświadczyć ludzkiej chciwości, podłości, okrucieństwa niż przygody pełnej blasku. Oczywiście o tym mówi się rzadko. O doznanych upokorzeniach, o doznanych pokusach nieczyszczalnych, o zawodach, o zastrzeżeniu tych pokus mieszczących się jednak w sferach nieosiągalnych.

Bowiem bogaci pozostali bogatymi lub lepiej – stali się jeszcze bogatsi, stwarzają sobie własne światy zamknięte, ale pokazywane. Dla nich są ekskluzywne magazyny; luksusowe hotele; bajkowe stroje, nieprawdopodobne urządzenia mieszkań – wszystko to możesz zobaczyć na wystawie, za szybą. Ta szyba jest barierą rzeczywistości społecznej. Te szyby istnieją wszędzie. Tak samo w Paryżu jak i w Warszawie. A na lotniskach widzisz coraz więcej ludzi biednych. Bogaci mają swoje linie, własne samoloty lub pierwsze klasy. Lotnisko w Singapurze rozczarowuje, gdy zobaczysz w jego budynku tłum Azjatów w dzinsach, a na lotnisku we Frankfurcie nad Menem możesz zobaczyć tłum *Gastarbeiterów*, biedny, z tobołkami w rękach, uderzająco podobny do tłumów widywanych na dworcach kolejowych wschodniej Europy.

Cywilizacja nomadów? Nigdy jeszcze w dziejach wędrówki ludów nie przybrały takich rozmiarów. Czym w porównaniu z nimi były wędrówki tych tysiący barbarzyńców z Azji przez równiny Europy ku zachodowi? Był to zaledwie ułamek tych tłumów, które dziś samoloty przerzucają codziennie między krajami europejskimi. Ale wtedy te gromady obalały imperia i zwiastowały nowe cywilizacje. A dzisiaj? Czy te wędrujące gromady coś obalają? Czy coś budują nowego? Czy kładą podwaliny nowej, ujednocionej doświadczeniami cywilizacji? Czy też tylko wracają utwierdzeni w swoim etnocentryzmie, w swoim poczuciu wyższości, czy też zaciekle rekompensują doznane upokorzenia, trzymając się tym mocniej dawnej swojskości? Czy przywiezione przez nich przedmioty, poglądy, idee stwarzają podstawy lepszego zrozumienia, tolerancji, akceptacji obcości czy też podsycają antagonizm do tych obcych, innych, a więc groźnych i niepokojących?

W skali makro wraz z rozwojem cywilizacji masowych podróży i masowych ruchów turystycznych, masowego transportu ludzi, idzie w parze wzrost antagonizmów i wojen. Może niekoniecznie dlatego, może to współwystępowanie jest wywołane głębszymi przyczynami, może masowe ruchy ludzi popędów przestrzeni i wzrost napięć międzynarodowych i wojen są wywoływane podobnymi przyczynami działającymi równolegle. Ale być może masowe podróże także lepiej uświadamiają istniejące zagrożenia i konieczność samoobrony. Zarówno w wymiarze kulturalnym, jak i politycznym. Masowe podróże zagrażają wartościom naszej kultury. Czują to i plemiona afrykańskie, i narody europejskie, i stare kultury azjatyckie. Kanada i Australia tworzą in-

stytucje, których zadaniem jest budowanie identyczności kulturalnej tworzących się narodów kanadyjskich i australijskich, starają się zbudować narody wielokulturowe, przejmujące i syntetyzujące wartości wielu grup etnicznych. Dlaczego? Bo czują się zagrożone zalewem cywilizacji wyższych, sprawniejszych, narzucanych bezwzględnie, ale bez zorganizowanego nacisku – powiedzielibyśmy w Polsce – administracyjnego. Po prostu przejmując technikę, przejmuje się także język, organizację pracy, sposoby myślenia i działania. Ta nowa cywilizacja najpierw przejmuje podziwem, ale gdy się odkrywa jej nieuchronne strony negatywne, rodzi się bunt i antagonizm, zjawiają się prorocy powrotu do własnej tradycji (zjawia się nawet urzędowa ochrona języka, jak we Francji). Wahadło wraca w drugą stronę, ujednoczenie przekształca się w podkreślanie własnej odrębności, które z konieczności także akcentuje niechęć i wrogość do obcości importu. Tak więc epoka podróży jest także epoką ostrych antagonizmów. Także w zakresie politycznym. Trzeba bowiem kontrolować te wszystkie importy polityczne, idee, pomysły, aspiracje, dążenia, które mogą przyczynić się do podważenia własnego porządku politycznego. Kiedy w latach sześćdziesiątych pierwszy raz leciałem do Stanów Zjednoczonych, kwestionariusz podania o wizę zobowiązywał mnie, że nie będę się starał obalić porządku politycznego tego kraju ani nie będę się starał zabić jego prezydenta. Dopiero administracja Kennedy'ego zmieniła ten kwestionariusz, może widząc bezskuteczność takich zobowiązań.

Masowe podróże rodzą więc także masowe frustracje, zawiści, antagonizmy – może nawet w większej skali niż podziw, zrozumienie i sympatię. Bo tylko w czasach masowych podróży mogą zachodzić takie zjawiska, że grupa Japończyków na lotnisku w Izraelu zabija bez wyboru trzydziestu kilku Amerykanów, którzy przyjechali tam jako turyści, a których większość nie była niczym związana z Izraelem. Masowy ruch powietrzny zrodził więc nowe formy terrorku międzynarodowego, porywanie samolotów i zabijanie niewinnych ludzi, zupełnie obojętnej sprawie, o którą terroryści występują. Tak więc na lotniskach zjawiały się gromady uzbrojonej policji, komandosów, samochody pancerne, psy policyjne, zjawiała się rewizja pasażerów, urządzenia elektroniczne szukające broni, itp. Czy można wskazać wyraźniejszy przejaw podejrzliwości lub nawet nienawiści ludzkiej, zrodzonej z masowych wędrówek ludów? Udajemy, że to margines, że to nieważne, że to jeden z nieważnych epizodów podróży, który nie ma poważniejszych następstw. Ale przecież jest to powszechny element organizacji tej podróży, zrodzony z ludzkiej nienawiści, chęci zabijania, terroru. Podróże kształcą, dają poznanie obcych kultur i ludów, architektur i muzeów, literatur i teatrów, ale podróże te odbywają się pod coraz ściślejszą kontrolą policyjną, sprawdzającą, czy nosiciel danego paszportu nie jest zarejestrowany

w międzynarodowych wykazach osób podejrzanych, czy nie jest podejrzewany o przynależność do organizacji terrorystycznych albo do grup politycznych niepożądanych w danym kraju, czy nie wymaga śledzenia i nadzoru? Nie mamy statystyk pokazujących, w jaki sposób na rozbudowę służb bezpieczeństwa, kontrwywiadów, zwalczania przestępczości, na wzrost liczby etatów policyjnych w świecie wpłynęły masowe wędrówki ludów, korzystających z nowoczesnej techniki transportu. Ale możemy sobie łatwo wyobrazić, obserwując chociażby ilości ludzi zatrudnionych w kontroli bezpieczeństwa pasażerów na wszystkich lotniskach – a przecież to jest tylko rąbek góry lodowej widocznej nad powierzchnią – że są to liczby bardzo duże. Oto jest także przejaw dialektyki masowego zbliżenia ludzi w przestrzeni, starej tęsknoty za szlakiem, za daleką, za szukaniem spraw, konieczności, siebie, poznania – dążeniem do ucieczki z codzienności, szukaniem przeżycia czegoś nowego, odmiennego, szukaniem przygody czy wręcz szaleństwa.

IV

Podróż, jak cierpienie, jest rozprawą z czasem. Uświadamiamy sobie to dopiero wtedy, gdy podróż trwa długo, a zwłaszcza gdy lecimy samolotem kilka dziesiątków tysięcy kilometrów bez przerwy, gdy samolot zatrzymuje się co siedem czy osiem godzin dla uzupełnienia paliwa i zmiany załogi. Bez względu na to, czy lecimy na wschód, czy na zachód, z czasem zaczynają się dziać rzeczy dziwne – słońce, zegarek i organizm, zharmonizowane na miejscu zamieszkania, zaczynają chodzić odrębnymi drogami. I wtedy można wejrzeć głębiej w to, co nazywamy czasem. Choroba, bezsilność i cierpienia pokazują czas jako niszczenie, jako siłę szatańską, drwiącą z człowieka i niszczącą go tak, by czuł, że ginie i że się rozkłada. Świadomość czasu jest wtedy świadomością mijania w bólu. Nie czując bólu, nie czujemy czasu. Ale podróż pokazuje nam inny aspekt czasu. Podróż też jest cierpieniem, zmęczeniem, niepewnością, troską, rozłąką, często lękiem.

Lecąc na wschód, wyprzedzamy czas i otrzymujemy posiłki podawane według czasu lokalnego, zgodnie ze stanem słońca, w ciągu doby otrzymujemy siedem razy kolejne śniadania, obiady i kolacje. To jest tylko zrozumiiała ciekawostka. Podobnie można sobie poradzić ze swoim zegarem biologicznym – po prostu przyleciawszy na miejsce, dotrzeć do lokalnego wieczoru, położyć się wcześniej, przespać dwanaście godzin i wrócić do ładu, przyporządkowawszy zegar organizmu do lokalnych zegarów. Inaczej ma się sprawa z metafizyką czasu, z tym czasem, który nie mierzy się zegarami, ale stosunkiem siebie samego do własnej egzystencji.

Ten czas jest ramą, wewnątrz której nasza egzystencja przebiega, i ujmując jej sens, porządkujemy ją w różnych wymiarach, dzieląc je także na zdarzenia wcześniejsze i późniejsze. Wcześniej i później oraz inaczej, przy czym istota zamyka się w tym „inaczej”. Cóż w tym może zmieniać podróż? Natęże-
to „inaczej”. Nie w tym rzecz, że po przylocie z Warszawy do Kalifornii zastajesz czas „opóźniony” o wiele godzin, a przyleciawszy do Sydney zastajesz czas o dziesięć godzin wyprzedzający własny zegarek – zazwyczaj na to zwracamy uwagę i zabawiamy się pytaniem, jak się te stracone czy nadrobione godziny mają do „rzeczywistego” upływu między wcześniej i później, bo nagle później wyprzedza wcześniej. Ale rzecz najważniejsza to nagle natężenie tego „inaczej”.

Rodzenie się tego „inaczej” w warunkach domowych dokonuje się niepostrzeżenie. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że i ty, i urządzenie domu, i rodzina, i przyjaciele z dnia na dzień się zmieniają. Podróż jednak natęże inność brutalnie i pokazuje ją ostro. Nagle znajdziesz siebie w zupełnej inności. Jakby przeleciało kilkadziesiąt lat. Jesteś tu inny, obcy, nie czujesz się w pełni sobą, jesteś wyrwany ze swoich zwykłym ram, musisz się przystosowywać tak, jak u siebie musiałbyś to czynić po wielu latach nieobecności. Wtedy możesz sobie uświadomić, że istotą czasu i jego rzeczywistym upływem jest natężenie inności między wcześniej i później.

Wsiadam do samolotu i po kilku godzinach jestem w zupełnie innym świecie i sam jestem zupełnie inny. A przecież siedziałem w tym pudle nic nie robiąc, patrząc leniwie w chmury lub na dalekie zupełnie obojętne miniatury miast, gór, ledwie widoczne nitki rzek. Nie robiłem nic, nic się nie działo, poza zwykłą rutyną podawania posiłków. A jednak czas dokonał potężnego skoku. Po wylądowaniu wszystko jest inne. Proces rodzenia się naszej inności zdrwił sobie z nas. Zanim cokolwiek zauważyłem, zmienił i mnie, i moją egzystencję, mój stosunek do siebie. Tu jestem obcy. Tu patrzą na mnie oczy widzące mnie po raz pierwszy. Tu mnie ocenią na nowo i narzucą mi swoje kryteria postępowania. Tu muszę być napięty i gotowy na akceptację tylu inności, które „u siebie” odrzuciłbym bez wahania. To nie jest tylko fizjologiczne i psychiczne zmęczenie, z którym się tutaj muszę rozprawić – najważniejszą rzeczą jest ten skok inności, który mi się objawił brutalnie i który muszę zaakceptować.

Dlatego każda podróż jest przyśpieszonym krokiem w dojrzenie i starość. Przyśpiesza proces zmian, zmienia cię w sposób nieodwracalny. Bo gdy wrócisz, też zauważysz wiele inności. Powrót nie jest odnalezieniem punktu, z którego wyjechałeś. I sam zauważysz inność swojskiego otoczenia, i twoi bliscy zauważą twoją inność, chociażby była starannie ukrywana. Nie możesz

bowiem – choćbyś się bardzo starał (jak ten chłop, który w ogrodzie zoologicznym obejrzał żyrafę, a potem odwrócił się i powiedział sobie „nie, takiego zwierzęcia na świecie nie ma”, poszedł spokojnie do domu) powiedzieć sobie, że to wszystko, co widziałeś i przeżyłeś, nie istnieje. Istnieje w tobie jako zastygły czas ucieleśniony w twojej inności.

Właściwą miarą czasu jest narastanie inności. Gdy przestrzeń mierzymy ilością godzin potrzebnych na jej przebycie, Nowy Jork zbliża się do Warszawy bardziej niż Łowicz przed stu laty, gdy czas mierzymy miarami inności, godziny mogą być dłuższe od dziesięcioleci. Podróż jest objawieniem tego faktu. Inność narasta w ciągu kilku godzin w takich samych rozmiarach jak w codziennym życiu w ciągu dziesięcioleci.

V

Czy ta inność narastająca w podróży tak szybko jest zmianą? Pytanie kłopotliwe. Zmiana jest procesem, inność jest stanem. Zmieniasz się powoli, zachowując wiele elementów niezmiennych i tożsamość. Sądzę, że doniosłość tej inności polega na tym, że objawia się w świecie wewnętrznym, niepostrzegalnym i trudno otoczeniu zdać sobie z niej sprawę, póki jej nie zademonstrujesz w świecie zewnętrznym. Dalej sądzę, że przejście do nowej inności jest przeskokiem, a nie długotrwałym procesem. Podróż jest tym okresem, który zrywa człowieka z łańcucha codzienności i przenosi go w nową inność. To nie jest zmiana, to jest mutacja. Wchodząc do samolotu, wchodzisz jakby w kokon poczwarki, z której wyłania się w nowej inności. Witając się z obcymi ludźmi na dalekim lotnisku, wymieniasz swoje nazwisko, uśmiechasz się do nich, ale wiesz, że tu musisz być innym i że w ciągu tych kilkunastu godzin lotu dokonałeś tego „przepoczwarczenia”. Nie wiedząc jak, nagle odkrywasz swoją inność. To nie jest tylko proces przystosowania. To nie jest tylko uczenie się bycia w nowym środowisku ludzkim i kulturowym. Nic w tobie nie drgnęło, ale nagle wiesz, że jesteś inny. To nie jest proces psychologiczny ani społeczny, raczej metafizyczny. Dostrzegamy go najpierw, zanim się zacznie przejawiać w zachowaniach. Jestem inny, zanim zdążyłem poznać jakiegokolwiek elementy nowej rzeczywistości, do której chciałbym się przystosować, zanim jakakolwiek idea do mnie dotarła, zanim uświadomiłem sobie jakąkolwiek nową wartość tego społeczeństwa. W jakiej więc sferze dokonał się przeskok mutacji? Ani organizm, ani psychika, ani postawy, ani wiedza, ani aspiracje – co więc uległo mutacji?

Powtarzam – jakieś elementy świata wewnętrznego, może z tych, o których nie wiemy nic, może nasza czysta indywidualność ulega dziwnym mutacjom. Ale zostawmy fantazje. Zapytajmy raczej o sprawę istotną: jeżeli każda podróż przenosi podróżującego w stan inności, to jakie są konsekwencje tej

milionowej wędrówki ludów odbywającej się codziennie poprzez wszystkie linie lotnicze świata? Czy rodzi się tutaj inność gatunku *homo sapiens*? Czy ta wędrówka przenosi cały gatunek w nowy stan, stan metafizyczny, stwarza podstawy jakości, która może nagle wybuchnąć wbrew wszystkim oczekiwaniom nauk empirycznych?

Bo nauki empiryczne szukają wpływu podróży, nowych doświadczeń i doznań na postawy, idee, aspiracje, cele życiowe, poglądy polityczne, umiejętności techniczne itp. Są to oczywiście rzeczy znane i badane od dawna, teorie przenikania kulturowego są dobrze opracowane przez antropologów i socjologów.

Być może, że i te empirycznie stwierdzalne skutki są badane zbyt mało i zbyt niedokładnie, by zdać sobie sprawę z rzeczywistego zakresu narastających zmian. Ale mnie tutaj chodzi o ten skok dialektyczny, w którym rodzi się nowa jakość, inność. Może było to złudzeniem filozofów, że ta nowa jakość, że inność powstaje wskutek nagromadzenia zmian drobnych w wielkich ilościach, że ilość w odpowiednim dopiero stężeniu rodzi inność. Być może powstawanie inności nie jest procesem, ale jednym aktem, którego natury jeszcze zupełnie nie znamy. Być może inność powstaje w warunkach dość dalekich od warunków rodzących zmiany. Filozofowie i uczeni w ciągu stuleci rozwoju naszej cywilizacji europejskiej byli zafascynowani i pozostawali pod sugestią ważności zmian, zwłaszcza od XVII wieku, gdy zdano sobie sprawę, że złoty wiek ludzkości nie miał miejsca na początku dziejów, ale raczej trzeba go szukać w przyszłości, tworzonej postępowaniem umysłu ludzkiego. Stąd zapatrzenie w zmiany, w postęp i stąd także szukanie wyjaśnienia dialektycznego skoku w inność poprzez narastanie zmian ilościowych, kumulujących się w czasie, aż napęcznieją poza możliwości „wytrzymania” dotychczasowej formy. Wtedy dokonuje się ten dialektyczny skok w nową jakość. Możliwe, że tak jest. Nasuwa mi się jednak inna hipoteza, inne przypuszczenia: przechodzenie w inność nie jest takim procesem, ale jednym aktem, dokonuje się ono codziennie, w różnych wymiarach, jest jednym z naturalnych zjawisk zachodzących w przyrodzie, ale podciąganych przez naukę do wyjaśnień w procesach zmian i jakoś się w tych wyjaśnieniach mieszczącym. A jeżeli zostają tu jakieś nie wyjaśnione *residua*, to nauka je po prostu ignoruje, tak jak ignoruje to wszystko, co nie mieści się w ramach aktualnie akceptowanej konwencji uprawiania nauki.

Tej dialektyce inności trzeba oczywiście poświęcić systematyczną rozprawę, ale źródłem wysunięcia tej koncepcji są rozważania nad podróżą jako rozprawą z czasem, w której dzieją się rzeczy dziwne z naszym stanem, kiedy dokonujemy tego skoku w inność, bez nagromadzenia potrzebnych elementów zmian ilościowych uzasadniających tradycyjne wyjaśnienie tej inności. Podróż bowiem odsłania nam pewne dziwności czasu, które na pewno są

związane z dialektyką inności. Zazwyczaj sądzimy, że czas jest twórcą inności. Zmieniamy się w czasie. Ten aksjomat jest wpojony w nasze myślenie od dzieciństwa. Rodzice obserwują wzrost swojego dziecka i podobnie jak biologowie przyporządkowują zachodzące zmiany określonym miarom czasu. Wiadomo, że w ciągu miesiąca waga niemowlęcia powinna wzrosnąć o tyle a tyle, żeby wzrost był „normalny”, że zatem wszelkie zmiany są przyporządkowane miarom czasu i to jest ta zwykła podstawa przewidywania przyszłych zmian, w określonych jednostkach czasu. Przy czym czas jest tutaj „podstawą” tego upływu i zmiany „wcześniej” w „później”.

Można jednak wyobrazić sobie inną naturę czasu. Nie czas jest twórcą inności. Czas jest raczej jej epifenomenem, jej następstwem, jej stale towarzyszącym objawem. Nie ma stałej zależności między upływem czasu a pojawieniem się inności, chyba że czas identyfikujemy z posuwaniem się wskazówek zegara. Akty przechodzenia w inność nie są związane z procesami „dojrzwiania” zmian w określonych jednostkach czasu. Rządzą nimi zupełnie niezależne prawa, przechodzenie jednego stanu w drugi jest niezależne od upływu czasu. Można przypuszczać, że zachodzą one „poza” czasem, że nie wszystkie zjawiska zachodzą w czasie zdrowego rozsądku czy też w czasie fizyki czy czasie biologii. Jeżeli wyobrazimy sobie taki świat istniejący bez czasu, świat „czystych aktów”, świat niedziania się, świat bez przebiegów, ale złożony wyłącznie ze stanów istniejących równocześnie i zawsze występujących równocześnie, lecz odkrywanych przez człowieka w różnych punktach jego czasu i dlatego wydających mu się etapami zmian, to wtedy dialektyka inności ukaże się nam także w innym świetle. Po prostu byt istniejący, zawierający wszystkie możliwości, jest jeden – jak w starej filozofii Parmenidesa – niezmienny, wszystko w nim istnieje równocześnie. Nic w nim nie płynie, nie ma czasu. Lecz nie jest to byt jedyny. Obok niego istnieje drugi świat czasu, dokładniej, świat podlegający zmianom w czasie. Pojawienie się inności w tym świecie rządzonej czasem może być wynikiem „skrzyżowania się” tych dwóch światów. I wtedy przejaw „świata bez czasu” w świecie czasu bierzemy jako wynik zmian zachodzących w czasie.

VI

Zostawmy filozofom rozważanie, czy ten świat bez czasu jest swoistym bytem realnym – tak chyba jest – i jak się ma on do naszego świata wewnętrznego, czy sięga on także do naszej czystej indywidualności, czy jest ona może jego elementem wewnątrz nas i jest tym zespołem stanów gwarantujących naszą identyczność – zostawmy to wszystko do systematycznych traktatów filozoficznych i wróćmy do rozważań nad podróżą. Z tego wszyst-

kiego nasuwa się bowiem wniosek, że każda podróż ma swój aspekt metafizyczny, że łatwiej wtedy ocieramy się o „niezwykłe” i łatwiej sobie uświadamiamy, że coś się koło nas dzieje niezwykłego. To pomieszanie czasów słonecznych, zegarowych, biologicznych łatwiej pozwala sobie uświadomić, że ta nagła inność, którą w sobie spostrzegamy, nie ma nic wspólnego z naszym normalnym czasem odmierzonym przez poczciwy zegarek. Że wtedy łatwiej spostrzec „skrzyżowanie” ze światem bez czasu, z którego nasza inność przenika nagle do codzienności. Po prostu to, co jest naszą wielością postaci, może w podróży przejawiać się łatwiej niż w rutynie codzienności.

Sądzę, że podróże współczesne, polegające nie na pokonywaniu przestrzeni w czasie, wysiłkiem i sprawnością mięśni i umysłu, ale podróże, w których jesteśmy przekazywanymi przesyłkami, tym się różnią od tych dawnych podróży angażujących energię i sprawności, że odkrywają nam nie obce lądy i ludy, ale w znacznie większym stopniu odkrywają nam siebie. Odkrywam nie inne kraje, ale inność w sobie. Nie Conradowskie: „obce lądy w mżeniu gwiazd i namiętności ludzkie w pomroce”, ale swoje skrzyżowania ze światem bez czasu, z którego nagle wyłania się moja inność, istniejąca tam poza możliwością wyobrażenia.

Powiecie mi, że to fantazja umysłu zmęczonego długą podróżą i nadmiarem wysiłku, że przecież tę inność, odkrytą godzinami lotu i bezczynności w samolocie, można bez metafizyki wytłumaczyć procesami fizjologicznymi, psychicznymi i kontrastami społecznymi. Może. Sądzę jednak, że ta korzyść wejrzenia w siebie, uchwycenia hipotez niezwykłych, refleksji ogarniającej horyzont szerszy, niż ogarnia wzrok z samolotu lecącego w czystym niebie, jest istotnym skutkiem podróży zamienionej w przesyłanie pasażerów zamienionych w ilość przesyłanych kilogramów. Ta nowoczesna podróż pozbawia pasażera wszelkich cech ludzkich. Nie wymaga niczego, a jednak zmienia. A więc, ratując romantykę dawnych podróży, wpisuję w ten bezduszny mechanizm skomputeryzowanej organizacji magiczną i niezwykłą cechę i zdolność przemieszczania światów zmiany w czasie i światów czystego istnienia bez czasu. Przypisuję jej zdolność dialektyki daleko potężniejszej niż podróże Cooka czy Magellana, zdolność przenoszenia czarów większych niż czary wyprawy Marco Polo. Jeżeli te pudła, przenoszące codziennie ponad naszym globem miliony kilogramów ludzkiej żywności, nie miałyby tych metafizycznych właściwości, to byłyby tylko narzędziami wielkiej organizacji pogrzebowej, grzebiącej ludzkie indywidualności. Co też jest możliwe.